NOWINY TYGODNIA

LITERATURA · SZTUKA · NAUKA · LITERATURA · SZTUKA · NAUKA · LITERATURA · SZTUKA

TYGODNIOWY DODATEK „NOWIN RZESZOWSKICH" Rzeszów, 21 stycznia 1956 r. Rok V Nr 3 (299)

W NUMERZE: STANISŁAW GALOS — Tułacze życie (opowiadanie) • FRANCISZEK GRABOWSKI — Kilka uwag i wniosków (artykuł dyskusyjny) • JANUSZ KORYN — O szlaku Odyseusza, rekinach i pakistańskiej nędzy • JÓZEF KOZŁOWSKI — Przed 60 laty • ZBIGNIEW ZAPERT — „Cud zdarza się raz".

ŻYCIE JEST PIĘKNE...

Halinka jest urocza dziewczynka, o tak chętnie opiewanych przez wszelkiego rodzaju twórców jasnych włosach i błękitnych oczach. A poza tym ma osiemnaście lat i jest zakochana.

Jadzia wręcz przeciwnie. Ma kruczo czarne włosy, ciemne oczy i nie wierzy w żadną miłość. Siedzą obie na ławeczce przed Domem Kultury WSK i czekają na ostatni samochód.

Najmłodsi artyści zademonstrowali swe możliwości w baj ce o „Białym króliczku".

— „Życie jest piękne" — powiada ni stąd ni zowąd Halina.

— Bzdura — replikuje natychmiast Jadzia — takie głupstwa mogą mówić tylko takie naiwne jak ty...

— Niech sobie będę naiwną — mówi pojednawczo jasnowłosa — ale dobrze mi z tym. Czegoż mi trzeba? Zarabiam sama na siebie. Mam miły dom rodzicielski. Kocham swego Stasia i on mnie też. No i ten balet. Ileż zadowolenia przynoszą te nasze próby. Strasznie lubię tańczyć...

— Tańczyć? Czyżby? Wydaje mi się, że raczej lubisz te próby, bo spotykasz się ze Stasiem...

— Nieprawda. Lubiłam je i przedtem, zanim...

— No, no, znamy się na tym. Zresztą co mnie to wszystko obchodzi...

— Ale ty też lubisz taniec, może nie?

— Owszem. Ale nie wpadam zaraz w taki zachwyt, jak ty. Lubię balet, bo daje nie tylko dużo zadowolenia, ale też dużo innych korzyści. Od czasu, kiedy ćwiczę, czuję się znacznie lepiej...

— No widzisz, sama potwierdzasz moje zdanie.

— Niezupełnie. Byłabym szczęśliwa, gdyby nie...

— Jedzie. Wsiadajmy, bo nie zdążymy...

Tak więc nie dowiedziałem się tego wieczora czego „brak do szczęścia" sympatycznej Jadzi Przyrzekłem sobie jednak, że dowiem się na następnej próbie baletu w Domu Kultury WSK.

* * *

Najsilniejszą pozycją Domu Kultury WSK są jego zespoły dramatyczne. Bogaty jest dorobek artystyczny tych zespołów. Wymienię tu tylko kilka pozycji z repertuaru. A więc „Mazepa" i „Lekarz mimo woli" z klasyki, „Takie czasy" i „Sprawa Pawła Eszteraga" ze sztuk współczesnych. Wszystkie pozycje reżyserował Jerzy Buczkowski.

W niedzielę 22 bm. zobaczymy premierę nowej sztuki „Pan Damazy" Blizińskiego.

— Wystawiamy tę sztukę — wyjaśnia kierownik Domu Kultury Henryk Głowacki, bo ludzie łakną czegoś wesołego. Chcą się zabawić...

I to racja. Ale nie chodzi mi o ocenę repertuaru. Chodzi o obsadę. W sztukach wystawianych przez zespoły WSK grają wciąż ci sami ludzie. W obu zespołach są gwiazdy o ustalonej renomie.

Jednym z najbardziej aktywnych członków zespołu jest pracownik fizyczny WSK — Józef Wadach — dobry odtwórca ról Pawła Eszteraga. Zadziwia niezwykle szeroka skala artystyczna tego aktora z zamiłowania. Obdarzony świetną dykcją i vis comica — Józef Wadach czuje się równie dobrze w dramacie jak i komedii.

Żeńskim „odpowiednikiem" Wadacha jest Krystyna Żelazna — wykonawczyni głównych ról kobiecych. Jej artystyczne skoki są niemniej gwałtowne — od tragicznej postaci Amelii z „Mazepy" do farsowej niemal żony dyrektora w „Takich czasach".

Można by tu wymienić jeszcze i innych żelaznych aktorów — Zygmunta Wandołowskiego, Jana Marka czy Kazimierza Szemberskiego. Są to ludzie, którzy znaleźli w zespole dramatycznym nie tylko wielkie możliwości zaspokojenia potrzeb artystycznych, ale i wypełnienie pewnej luki w życiu prywatnym. Scena jest dla nich atrakcyjnym i miłym wypełnieniem wolnych chwil.

Z niezwykłym entuzjazmem i pasją mówi o tym robotnik — Józef Wadach.

— Scena to moje drugie życie. Nie wyobrażałem sobie

Jan Marek (Kowacz) i Kazimierz Szemberski (sędzia śledczy) w sztuce „Sprawa Pawła Eszteraga"

nawet ile satysfakcji i zadowolenia daje teatr amatorski. To takie przyjemne grać innych ludzi. A ile radości daje świadomość, że przynosimy ludziom rozrywkę. Nie zapomnę chyba nigdy chwili, kiedy pierwszy raz usłyszałem ze sceny oklaski z widowni.

Dom Kultury WSK wychował sobie kilkanaście całkowicie oddanych sztuce ludzi. Przy ich pomocy dostarcza tysiącom innych przyjemnej rozrywki kulturalnej. Bo sztuki wystawiane przez zespoły WSK mają powodzenie, mimo że dyskusja o ich poziomie artystycznym wywołać może wiele zastrzeżeń.

Zastanówmy się jednak nad pytaniem. Czy w WSK nie znalazłoby się daleko więcej kandydatów na aktorów-amatorów? Czy kierownictwo Domu Kultury oraz aktyw kulturalny WSK starają się o to, by zespoły dramatyczne wychowywały nowy „narybek" aktorski?

Odpowiedź jest niestety negatywna. Nie ma przy Domu Kultury WSK ani zespołu recytatorskiego, ani mniejszych brygad artystycznych, które przygotowywałyby nowych ludzi i dawałyby im możność wykazania swoich zdolności i zamiłowań. Nikt nie zajmuje się „odkrywaniem" młodych talentów, nikt nie stara się rozbudzać w młodzieży robotniczej zamiłowania do sztuki. Józef Wadach jest bodajże jedynym pracownikiem fizycznym — członkiem zespołu dramatycznego. Byłoby absurdem twierdzić, że wśród załogi WSK nie znajdzie się więcej takich ludzi.

Józef Wadach zgłosił się do zespołu sam. Nie znaczy to jednak wcale, że wszyscy inni młodzi ludzie zrobią to samo. Trzeba ich do tego zachęcać i to zachęcać umiejętnie i cierpliwie.

Otwiera się tu wdzięczne pole do popisu, zarówno dla komisji kulturalno-oświatowej, jak i ZMP. Ale ani komisja, ani organizacja ZMP tymi sprawami się nie zajmują. A kierownictwo i pracownicy etatowi Domu Kultury?

Zajmują się innym problemem. Problem ten brzmi: jak wykonać plan finansowy, tj. uzyskać z własnych imprez 50 proc. pokrycia budżetu DK? A przecież praca nad utworzeniem zespołu recytatorskiego i werbowanie amatorów nie ułatwia rozwiązania tego „naczelnego" problemu.

Jedynie mały zespół „sztuki cyrkowej" prowadzony przez instruktora Aleksandra Małyka dba o narybek. Atrakcyjność tego zespołu przyczynia się niewątpliwie do tego, że wielu młodych miłośników akrobatyki czy żonglerki uczy się cierpliwie tej niełatwej sztuki.

Taki na przykład Bogdan Gras uporczywie zaprawia się w żonglerce i marzy o chwili, kiedy będzie mógł popisać się swą zręcznością przed widzami.

Poza omawianymi zespołami przy Domu Kultury WSK działa czterdziestoosobowy chór mieszany i dwudziestoosobowy balet. Dorobek tych dwóch zespołów jest jeszcze minimalny. Trzeba jednak powiedzieć, że zarówno kierownik chóru — Jan Wołyniec, jak i choreograf — Bożena Niżańska bardzo sumiennie prowadzą powierzone sobie zespoły. Stuprocentowa frekwencja na próbach oraz wyraźne postępy artystyczne zespołów, świadczą nader pochlebnie i o kierownictwie i o członkach zespołu.

Najbardziej wdzięczną bodajże dziedziną pracy artystycznej Domu Kultury WSK są zespoły dziecięce.

Aby zrozumieć jaką kopalnią radości jest taki zespół milusińskich, trzeba zobaczyć małych szkrabów na scenie. Z jakąż niedoścignioną prawdą grają mali aktorzy, z jakim przejęciem mówią tekst i wczuwają się w atmosferę przemiłej bajki Ignacego Wolańskiego pt. „U króla lenia".

A rodzice? Przyjrzyjcie się uszczęśliwionym twarzom rodziców, podziwiającym swe pociechy na scenie, a wszelkie wyjaśnienia będą zbyteczne.

Co prawda można by się postarać o to, by najmilszym aktorom sprawić miłą niespodziankę i poczęstować ich po przedstawieniu na przykład cukierkami i szklanką lemoniady, ale o takim drobiazgu nikt nie pomyślał.

Jeśli chodzi o dzieci nieco starsze sprawa przedstawia się niestety źle. Praca wychowawcza nad dzieckiem w wieku szkolnym nie została dotąd włączona do planów Domu Kultury WSK. Przyznać jednak należy, że Dom ten nie ma warunków do prowadzenia tej pracy.

Nadzieją napawa nas jednak fakt, że zgodnie z uchwałą VI Plenum CRZZ kierownictwo WSK postara się o urządzenie i wyposażenie gabinetów przyrodniczych, technicznych, fotograficznych i geograficznych dla dzieci swych pracowników.

Na razie jednak nic nie wskazuje na to, że odpowiedzialna za przeprowadzenie tych „inwestycji", Rada Zakładowa WSK weźmie sobie do serca zalecenia CRZZ.

Toteż chłopcy i dziewczęta, którzy wyrośli już ze świata bajki, niewiele mają pociechy z Domu Kultury WSK. Nie interesują ich odczyty i prelekcje, w szachy jeszcze nie grają, a w czytelni i bibliotece na próżno szukaliby młodzieżowych czasopism i książek.

A cóż znajdzie w Domu Kultury WSK przeciętny pracownik, który nie jest członkiem żadnego z zespołów artystycznych?

Również bardzo niewiele. Imprezy artystyczne należą do rzadkości. Wyświetlane cztery razy w tygodniu filmy należą z łaski CWF do rzędu ograny ch i słabych, przy czym nie najlepsza aparatura wąskotaśmowa bynajmniej nie podnosi walorów seansu.

Kierownik oddziału CWF w Rzeszowie oświadczył z rozbrajającą szczerością — kina związkowe nie są włączone do naszych planów, dajemy więc najlepsze filmy do „naszych" kin. Od tego zależy przecież premia...

Wypowiedź ta nie potrzebuje komentarza. Jest tylko jeszcze jednym potwierdzeniem nonsensowego traktowania kin związkowych przez CWF.

Mikroskopijna czytelnia nie przyciąga nikogo. Ani swym wyglądem ani wyposażeniem. Sala do gry w szachy przypomina — stodołę. Gołe ściany, kilka odrapanych stolików i krzeseł. To wszystko.

Co więc ma przyciągnąć ludzi?

Szukając odpowiedzi na to pytanie aktyw kulturalny WSK wpadnie być może na pomysł, na przykład przeprowadzenia błyskawicznej ankiety wśród załogi. Dowie się wtedy czego oczekują robotnicy od swego Domu Kultury.

Zagubionym problemem kulturalnym WSK jest sprawa pomocy dla wsi. W pogoni za... zyskiem zespoły artystyczne Domu Kultury wyjeżdżają co prawda w teren, ale do pokrewnych zakładów w Mielcu, Stalowej Woli, Dębicy.

Również instruktorzy artystyczni Domu Kultury mieli by poważny kłopot z przypomnieniem sobie kiedy byli ostatni raz na wsi, na przykład w POM czy PGR.

Krótko mówiąc sprawa łączności ze wsią w WSK leży odłogiem.

Trudno winić o to li tylko pracowników Domu Kultury. W znacznie większym stopniu ten lek terenu obciąża Radę Zakładową i aktyw kulturalny WSK. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Pomoc udzielana przez zakład pracy Domowi Kultury jest znikoma. Ogranicza się niemal wyłącznie do spraw administracyjnych.

Osiągnięcie jeszcze lepszych wyników w pracy kulturalnej jest nie do pomyślenia bez radykalnej zmiany stosunku kierownictwa WSK do zagadnień kulturalno - wychowawczych.

Jeśli kierownictwo WSK zabierze się poważnie do pracy nad „odrobieniem zaległości", jeśli aktyw kulturalny i młodzieżowy w równym stopniu poczuje się odpowiedzialny za rozwój życia kulturalnego wśród załogi, Dom Kultury WSK w zupełności spełni swe zaszczytne zadania.

A ludzi wypowiadających szczerze cytowane już zdanie „życie jest piękne" będzie grubo więcej. A o to chodzi właśnie, bo przecież między innymi w upiększaniu życia tkwi podstawowe zadanie Domu Kultury.

JERZY KORSKI

Jeden z najlepszych aktorów zespołu Domu Kultury WSK — Józef Wadach w sztuce „Lekarz mimo woli"

Nikt chyba nie zaprzeczy, że ta radośnie roześmiana twarz ma to co nazywamy w sztuce „wyrazem". Nie jest to jednak twarz zawodowej aktorki. Zdjęcie nasze przedstawia artystkę amatorkę Krystynę Żelazną w sztuce „Lekarz mimo woli"

TUŁACZE ŻYCIE

Napisał: STANISŁAW GALOS

Niedawno byłem w Hyżnem k. Rzeszowa. Odwiedziłem Władysława Kawalca, który po 27 latach pobytu na obczyźnie powrócił do rodzinnej wsi.

Trudno się oprzeć wzruszeniu słuchając opowiadania tego pięćdziesięcioletniego człowieka o przedwcześnie postarzałej twarzy, melancholijnie patrzących oczach i jakimś gorzkim uśmiechu błądzącym w kącikach ust. Szorstkie wyrazy, z wyraźnym wpływem akcentu języka angielskiego, kreśliły obrazy tamtych przeżytych dni, tygodni, lat. Nie przerywałem Kawalcowi jego opowiadania, siedziałem wsłuchany, przejęty do głębi: świst wichru kanadyjskiego i krzyk stójkowego Anglika w dalekich borach kanadyjskich — mieszały się w mojej wyobraźni z natrętnym pytaniem — to ma być ta właśnie Ameryka dobrobytu i szczęścia, o której codziennie bębni „Wolna Europa", przepełnione są zeszytowe powieści IKC sprzed 1939 roku... Tak wyglądał los biednych tułaczy polskich?...

* * *

1927 rok. Styczeń. Hyżne w niczym nie różniło się w owym czasie od wielu sąsiadujących z nim wsi, od większości wsi Rzeszowszczyzny. Tak jak i inna wieś miało 4-klasową szkółkę z jednym nauczycielem, chaty przycupnięte po obu stronach drogi, w większości drewniane, kryte słomą, krocie „zbędnych" młodych i zdrowych ludzi.

Do Hyżnego z rzadka docierały wieści z szerokiego świata. Przynosili je zazwyczaj powracający z miasta ludzie, którzy przed laty powędrowali za chlebem do Rzeszowa, Jasła, później wyrzuceni na bruk powracali na wieś.

* * *

Koniec lutego 1927 roku zbliżał się, a siarczysty mróz bynajmniej nie wróżył szybkiej wiosny. Pochowali się po domach ludziska, gwarząc o spóźnionych prawdopodobnie w tym roku wiosennych siewach, sadzeniu ziemniaków. Coraz częściej przebąkiwano również o „zbędnych" siłach. Niepokojące wiadomości o zwalnianiu robotników z fabryk, stawiały wręcz tragiczną perspektywę życiową przed młodzieżą hyżneńską... i to w dziewiątym roku istnienia odrodzonej Polski. Przewidywania i zdania były różne.

...Aż tu nagle z początkiem marca po wsi gruchnęła wiadomość: agitują na Saksy! Do Kanady!

Ostatnie grudy śniegu topniały w rozpadlinach, gdy na punkt zborny we Lwowie powędrowała pierwsza grupa chętnych na wyjazd za granicę.

Marcowe słońce dogrzewało. Wyszli hyżnianie na pole do sadzenia kartofli. Jako jeden z pierwszych w pole wyruszył Władysław Kawalec, obsiewając swoje zagony. Niewiele ich było — to prawda nie dawały utrzymania całej rodzinie. Toteż od dłuższego czasu Władysław Kawalec myślał także o wyjeździe za granicę. Bał się jednak... ani nie ma przecie pojęcia o tych dalekich krajach, ani nie zna języka ludzi je zamieszkujących. W dodatku ma młodą żonę...

Wieczorami zachodzili do niego przyjaciele — Jan Bialic, Wojtyło — tacy biedniacy jak i on.

— Co myślisz — pytali — może byśmy się wybrali? Kto wie, może nam się naprawdę w krótkim czasie powiedzie?

Władysław Kawalec nie zastanawiał się długo, zresztą trudno było znaleźć jakieś inne wyjście w jego sytuacji. Kilka dni po którejś tam z kolei rozmowie z Bialicem żegnał bliskich, żonę. Cały jego bagaż w daleką nieznaną podróż, stanowił nieduży kuferek.

We Lwowie zaopatrzono Kawalca, Bialica i innych w paszporty, skąd znów pociągiem udali się do Gdyni. W kilka dni potem znajdowali się już na parowcu, płynąc do dalekiej, nieznanej im Kanady.

Do Halifaxu przybili wszesnym rankiem. Parowiec wolno wpłynął w basen portu o tej porze zapełniony potężnymi statkami, małymi holownikami, motorówkami. Niesamowity tumult, warkot motorów i gwizd syren okrętowych mieszał się z gwarem różnojęzycznych tłumów, zalegających nadbrzeżne bulwary.

Wyszli na ląd, na obcy, nieznany im ląd. Obstąpiły ich tłumy wynędzniałych ludzi.

— Co to? — zaciekawił się Kawalec przystając — po polsku mówią...?

— Oszukali nas, draniel Was też — dobiegł głos ich uszu.

— Już cztery tygodnie czekamy na pracę!

Pełni niepokoju i złowróżbnych uprzedzeń całe pierwsze pół dnia poświęcili na poszukiwanie zajęcia. Następne dwa dni również wędrowali od biura przyjęć do biura przyjęć. Na próżno... Trzeciego dnia, któryś z napotkanych Polaków, ten do Kanady przybył nieco wcześniej, a też był dotychczas bez pracy, dowiedział się od jakiegoś Anglika, iż są możliwości zarobkowe w mieście Winnipeg. Nie zastanawiali się długo, następnego dnia wybrali się tam sporą gromadą, coś ze 30 osób. Między nimi Władysław Kawalec, Wojtyło, Bialic.

...I znów na nic wysiłek, pośpiech — pracy nie znaleźli. Czarna rozpacz ogarnęła nie tylko Kawalca, Bialica. Nie było żartów — te grosze, które przywieźli ze sobą dawno się wyczerpały, a jaśniejszych perspektyw nie widać. I kiedy w Winnipeg pojawił się jeden z przedstawicieli dużej firmy zajmującej się wyrębem lasów — uznano go za zbawcę. Droga wiodła na daleką północ, do prowincji Alberta, miasta Edmunton.

Były to pierwsze dni maja 1927 roku. Pociąg wlókł się jakoś ospale, im dalej zagłębiali się w dzika, bezludna północ, tym grubsze z okien wagonu widać było płaty śniegu. Prawdziwa „niespodzianka" czekała ich dopiero w Edmuntonie. Któż z nich mógł przypuszczać, że w pierwszej połowie maja mogą panować takie mrozy, jak u nas podczas najcięższych zim?

Kawalca, Wojtyłę, Bialica i resztę współtowarzyszy rozlokowano w starych budynkach nie wiadomo czy dawniej służących za magazyn czy koszary. Większość izb nie miała w oknach szyb. Umieszczone w ramach okien worki wypchane słomą niewiele pomogły; w ruderach nadal było tak zimno jak na dworze.

Rozgoryczenie ogarnęło biedaków, bo na dobitkę przyszło siedzieć bezczynnie, o obiecywanej pracy przed przyjazdem do Edmunton nikt nie wspominał. Jak mówiły wieści, został ponoć zerwany kontrakt między firmą zajmującą się wyrębem lasów, a zleceniodawca.

Bialic, Kawalec i kilkunastu innych uciekają. Dokąd? Naprzód, byle dalej od tego piekła, od tych amerykańskich „dobroci". Docierają do Varington. Najmują się do wyładunku węgla. Po trzytygodniowej ciężkiej harówce wzięli na wypłatę tyle, że starczyło na wyrównanie długów za żywność i papierosy.

Do Winnipeg przybyli w samą porę. Olbrzymi trust Shefling Clarck Company przed kilku dniami otrzymał duże zamówienie od któregoś z karteli na drzewo i na hura zbierano każdego kto się nawinął do wyrębu lasu.

I znów powędrowano na północ. Kto pracował przy wyrębie w lesie, wie, iż to niełatwa praca. Harówka w surowych warunkach klimatycznych od 5 rano do 7 wieczór wymagała niemało silnej woli, niemało samozaparcia, by wytrwać do końca. Dlatego nawet z ulgą przyjęli wiadomość, kiedy im oświadczono po 9 miesiącach że roboty się skończyły i dla nich nie ma innego wyjścia, jak wynosić się szybko z tych okolic. Mniej niepokojąca stała się myśl, iż mogą się stać łupem długotrwałego bezrobocia, kiedy wsiedli na pociąg i poczuli powiew cieplejszego wiatru — jakże zdawało im się — podobnego do wiosennych powiewów w Hyżnem, Tyczynie.

Dwa lata minęły od czasu, gdy Kawalec zrobił pierwszy krok na ziemi kanadyjskiej. Dwa lata tułaczego życia, katorżniczej pracy w dzikich puszczach kanadyjskich i jako jedyny rezultat tych dwu lat — gorycz zawiedzionego w nadziejach człowieka.

A z domu dochodziły coraz bardziej rozpaczliwe listy: żona żądała, ażeby powrócił, ojciec matka zaś, by przysłał pieniądze.

Jakież uczucie rozpaczy musiało targać człowiekiem, kiedy czytał listy z dalekiego drogiego mu kraju od bliskich, proszących o wsparcie, w chwili, kiedy sam znajdował się w nędzy, na bruku, bez pracy. A perspektywy na otrzymanie zajęcia były co najmniej nikłe. Był to przecież 1929 rok — początek największego kryzysu gospodarczego wielu państw kapitalistycznych w tym także i Kanady. Setki wałęsających się po miastach ludzi, żebrzących o pracę, o chleb, stały się tak codziennym zjawiskiem, iż myśl znalezienia jeszcze kiedykolwiek zajęcia stała się pobożną nadzieją-wróżbą.

Włóczyli się jakiś czas Władysław Kawalec, Bialic, Wojtyło od miasta do miasta bez celu i nadziei... Któregoś dnia dotarli do Timmins — okręgu górniczego. Wydobywano tutaj złoto. Byli niemałymi szczęściarzami — otrzymali pracę! W jednej z kopalń złota zaczęto eksploatować nowy pokład, toteż dyrekcja kopalń jak najszybciej chciała uzupełnić załogę.

Kawalec zaczął pracować w kopalni. Wiele, wiele lat spędził pod ziemią — bo od 1929 roku do 1948. Wiedział co to jest stracić pracę... i jak trudno ją znaleźć, toteż harował jak mógł.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej na kanadyjską ziemię zaczęło napływać tysiące emigrantów polskich, a wraz z nimi plotki o „krwiopijczym" reżimie komunistycznym. Na łamach emigracyjnej prasy polskiej pojawiły się ostrzeżenia pod adresem emigrantów zamierzających powrócić do kraju: „tych, którzy przybywają z Zachodu — donosiły szmatławce — „reżim komunistyczny wtrąca do więzień".

Lata płynęły, tęsknota za rodzinnym krajem rosła z każdym dniem. Ileż to lat na obczyźnie? — obliczał Władysław Kawalec. Może by powrócić do kraju, może rzeczywiście nie wsadzą do więzienia? Przecież znajomi, którzy wyjechali do Polski z Kanady po wojnie pisali, iż całkiem dobrze się tam czują, są zadowoleni z tego kroku... A może z gruntu nieprawdziwe są wszystkie wiadomości donoszone przez emigracyjną prasę o tej nowej Polsce? A może, a może...?

Postanowił. Właściwie miał zamiar wybrać się do Polski już w styczniu 1954 roku. Odwlókł jednak kilka miesięcy swój powrót zastraszony i nie zdecydowany.

* * *

Władysław Kawalec od półtora roku jest już z nami, w w kraju, za którym tak markotno mu było w znośnych i nieznośnych chwilach długiej wędrówki za chlebem po obcym, dalekim świecie.

Rysunki: R. Prokulewicza

KRONIKA kulturalna

NA GOŚCINNE występy do Rzeszowa i innych miast naszego województwa przybędą w bieżącym sezonie koncertowym: Adam Harasiewicz, zdobywca I nagrody na V Międzynarodowym Konkursie im. Fryderyka Chopina, śpiewaczka Maria Drewniakówna solistka Opery Warszawskiej, skrzypek Henryk Kowalski z Warszawy, pianistka Maria Szyiska absolwentka krakowskiej PWSM — uczennica prof. prof. Drzewieckiego i Hoffmana, harfistka Krystyna Zemancewa z Poznania oraz młodzi dyrygenci orkiestrowi.

* * *

W DNIU 14 bm. minęło 87 lat od dnia urodzin poety Stanisława Wyspiańskiego (zmarł w r. 1907), autora „Wesela", „Będziów", „Klątwy" i wielu dzieł poetyckich, stawiających go w rzędzie najznakomitszych polskich twórców.

* * *

NA POSIEDZENIU Wydziału Kultury Prezydium MRN w Krakowie postanowiono utworzyć Muzeum Kościuszkowskie oraz zbudować specjalny pawilon dla Panoramy Racławickiej. Obie kulturalne inwestycje spotkały się z żywym zainteresowaniem społeczeństwa zarówno w Krakowie jak i w Nowej Hucie. Również żywo reagują tu ludzie na wiadomości w sprawie umieszczenia zniszczonego przez hitlerowców pomnika Tadeusza Kościuszki z powrotem na Wawelu. Odlewy gipsowe pomnika zostały przesłane już do Drezna, gdzie zostaną wykonane jego poszczególne elementy, bowiem Drezno ofiarowuje Krakowowi jako dar pomnik naszego narodowego Bohatera.

* * *

W STALINOGRODZIE powstanie oddział Wojewódzkiego Wydawnictwa Artystyczno - Graficznego. Placówka ta będzie miała niewątpliwie wysoki wpływ na rozwinięcie pełnego wypowiadania się tamtejszych artystów — plastyków. W najbliższych tygodniach w Stalinogrodzie zostanie otwarta wystawa Wydawnictwa Artystyczno - Graficznego celem zobrazowania najlepszych prac plastyków z zakresu plakatu.

* * *

NAKŁADEM państwowego wydawnictwa popularno - naukowego Wiedza Powszechna, ukazała się książka Zbigniewa Antonowicza pt. „Nasi sąsiedzi zza gór". Autor przedstawił w niej najważniejsze wydarzenia historyczne oraz rozwój i osiągnięcia Czechosłowackiej Republiki, której narody czeski i słowacki wspólnie budują swą socjalistyczną ojczyznę.

* * *

W OSTRAWIE na Morawach założono sklep prowadzący ratalną sprzedaż dzieł sztuki, jak np. rzeźb, obrazów, artystycznej ceramiki, tkanin, mebli artystycznych itp., dzięki czemu udostępniono ludziom pracy łatwe nabywanie cennych dzieł sztuki i wyrobów mających artystyczną wartość.

Porozmawiajmy

NIE MA DRAŻLIWYCH TEMATÓW

Często mówimy o wychowaniu młodzieży na gruncie ideologii marksistowskiej. Ale czy w praktyce, w codziennej pracy dajemy sobie radę z żywym przemawianiem do serc i umysłów młodzieży?

Pobieżna analiza działalności rzeszowskiej organizacji młodzieżowej wystarczy, by ob nażyć istotne luki w pracy nad kształtowaniem marksistowskiego światopoglądu u młodzieży. Wystarczy porozmawiać z szeregowym członkiem organizacji, by przekonać się jak w gruncie rzeczy mało taki młody człowiek rozumie. Usłyszymy natomiast mnóstwo frazesów, sloganów i haseł, którymi operuje z niezwykłą łatwością.

Słyszę już gorące słowa protestu. Wielu aktywistów zarzuci mnie argumentami w rodzaju — mobilizujemy (co za straszne słowo) przecież młodzież do czynów produkcyjnych, do współzawodnictwa, do wytężonej walki o przyśpieszenie budowy socjalizmu, a tym samym wychowujemy młodzież, hartujemy ją, uczymy marksistowskiego spojrzenia na świat i ludzi.

To wszystko prawda. Ale czy w tej walce o przyśpieszenie budowy socjalizmu nie widzimy zbyt często li tylko rozwoju gospodarczego naszego kraju, nie widzimy natomiast jakże istotnego procesu rozwoju psychiki człowieka.

Spotyka się często aktywistów, którzy koncentrują wszystkie swe wysiłki na zwiększenie udziału kół zetempowskich w walce o lepszą produkcję. Utrzymują oni, że trzeba wpierw rozbudzać w młodzieży entuzjazm do pracy, inicjatywę produkcyjną, a potem dopiero prowadzić dyskusje światopoglądowe.

Zdanie to znalazło jak najszerszy wyraz w ostatniej Konferencji Wojewódzkiej ZMP. Mówiono tam dużo o tym jak zwiększyć udział młodzieży w wykonywaniu naszych zadań gospodarczych, nie poruszano zupełnie spraw światopoglądowych i ideologicznych.

A przecież tych dwóch spraw nie wolno rozdzielać. Moralność socjalistyczną w pierwszym rzędzie mierzymy jak najszerzej pojętym stosunkiem do pracy. Jestem przekonany, że koło ZMP, które rozpocznie szeroką dyskusję na tematy światopoglądowe zrobi wielki krok naprzód także w walce o zaktywizowanie młodzieży w produkcji.

O tym jak bardzo potrzebne są dyskusje światopoglądowe sygnalizują nam także często t y p o w e dla naszych czasów konflikty między atmosferą otaczającą młodego chłopca w domu, a wszystkim tym co dzieje się poza domem.

Wielu przecież młodych ludzi wywodzi się ze środowiska wierzącego, ba, nawet często zdewocjonowanego. Pociąga ich rewolucyjny romantyzm naszych czasów, porywa pasja naszego wielkiego budownictwa. Chłopak taki słyszy często takie słowa jak materializm, walka z idealistycznymi koncepcjami i mistycyzmem. Ale czy każdy rozumie te słowa w pełni?

Na zebraniach zetempowskich jeśli się już te sprawy porusza (a zdarza się to bardzo rzadko), większość naszych aktywistów ogranicza się do samej negacji idealistycznych poglądów.

A negacja wyrażona najbardziej nawet stanowczym głosem nikogo jeszcze nie przekonywuje, ani niczego nie uczy.

A pokażcie autorowi tego fe lietonu takie koło ZMP, które organizuje dyskusje na tematy na przykład wiary i uczy młodzież posługiwania się naukowymi argumentami wyjaśniającymi młodzieży głęboko humanistyczny sens naszej marksistowskiej ideologii.

Za mało jest właśnie takich dyskusji, na których idealistycznym poglądom na świat przeciwstawiamy materialistyczne pojęcie świata.

Znam wielu aktywnych członków ZMP, którzy oddani są całym sercem sprawie naszego socjalistycznego budownictwa, ale i oni nie są wolni od wątpliwości. I oni nie zawsze umieją poradzić sobie z niektórymi problemami, zrozumieć bez reszty wszystkie otaczające nas zjawiska.

Fałszywy wstyd wstrzymuje ich przed zadawaniem pytań, przed swobodnym przedyskutowaniem niejasnych dla nich problemów. Bo i jakże? Są przecież aktywistami.

Toteż z inicjatywą wywoływania burzliwych dyskusji wokół spraw nie wiadomo dlaczego nazywanych drażliwymi, trzeba występować śmiało i zdecydowanie.

Nie chodzi tu rzecz jasna o żaden nacisk. Sprawa wyznania i wiary jest sprawą jak najbardziej osobistą i Konstytucja nasza gwarantuje pełną swobodę wszelkim wyznaniom. Chodzi o wywołanie szczerej, swobodnej dyskusji o naukowym spojrzeniu na świat.

Nasze naukowe argumenty są nieodparte. Nie jest trudną rzeczą zbijać antynaukowe, idealistyczne poglądy. Ale właśnie o to chodzi, by je zbijać — a nie tylko negować.

Pamiętajmy, że jeśli młody człowiek nie przemyśli do końca wszystkich nurtujących go wątpliwości, w umyśle jego powstać może niebezpieczna pustka. Opieranie się o zasłyszane sformułowania nie wypełni tej luki.

Występujmy więc śmiało z szeroką dyskusją na tematy światopoglądowe. Ułatwmy młodzieży głębsze poznanie życia i wspaniałych perspektyw naszego budownictwa.

Do naszych dyskusji o porywających perspektywach planu pięcioletniego włączmy jak najszerzej tematykę światopoglądową. OBSERWATOR

Z podróży po południowo-wschodniej Azji (I)

O SZMUGU ODYSZUSZA, REKINACH I PAKISTAŃSKIEJ NĘDZY

(Korespondencja własna Agencji Robotniczej)

Jedyną linią lotniczą łączącą bezpośrednio Europę z Indonezją jest linia holenderska „KLM" (Koninglike Luchtvaart Maatschaspij — Królewskie Towarzystwo Lotnicze). Samolot holenderski po wystartowaniu z Schiphol (bardzo nowoczesne i luksusowo urządzone lotnisko Amsterdamu) ląduje jeszcze we Frankfurcie, po czym następuje pożegnanie z Europą.

W DRODZE DO WIERNEJ PENELOPY

Jest już po północy, gdy samolot startuje. W kilkadziesiąt minut później kabinę zalega cisza. Dwie starsze pary holenderskie w pierwszych fotelach oraz siedzący przede mną gruby, o oliwkowej cerze, pakistański kupiec i mały, uśmiechnięty Japończyk zapadli w głęboki sen. Idę za ich przykładem.

Kiedy otwieram oczy, zegar wskazuje 9 rano. W drodze do łazienki stewardessa służy elektryczną maszynką do golenia z napisem „Wybór aparatów do golenia — to sprawa zaufania. Zaufaj Philippsowi". Podobno koncern Philippsa dobrze płaci linii lotniczej za reklamę, tak samo zresztą jak koncern „Sunlight" za to, że próbki mydełka „Lux" leżą w łazience do użytku pasażerów.

W międzyczasie poduszki znikły z mego fotela, a na kocu leżą czasopisma ilustrowane i nieodłączne amerykańskie „comicsy". Znacznie ciekawsze widoki można jednak oglądać przez okno.

Samolot leci dość nisko nad błękitną, spokojną taflą Morza Śródziemnego. Kapitan samolotu wymienia nazwy licznych wysp greckich, nad którymi przelatujemy. W pewnym momencie pada nazwa „Itaka". To przecież ojczysta wyspa Odyseusza. A teraz lecimy szlakiem jego podróży do Troi oraz nad opisanymi przez Homera wyspami, które Odyseusz odwiedził w czasie swych wieloletnich wędrówek w drodze powrotnej do wiernej Penelopy. Przez głośnik padają znane z ławy szkolnej nazwy: Lemnos, Mityleny, Chios, Mikinos, Naxos, Leros, Kalimnos. Mijamy Ikarię, która według legendy powstała w miejscu, gdzie spadł do morza syn Dedala — Ikar, pierwszy człowiek, który pragnął dorównać w locie ptakom.

PRZEKOK NIE ZABRONIŁ SPRZEDAWAC

Zbliżamy się do Bejrutu. Roztacza się przed nami urzekający wprost widok. Piękniejszego nie oglądał chyba kalif z „latającego dywanu". Nad ciemnym błękitem morza, wśród zieleni gajów oliwnych i palmowych craz winnic rozpościera się miasto z białego kamienia. Widać z góry wille miejscowych notabli: na tarasach domów i w ogrodach — błękitne, kwadratowe tafle basenów kąpielowych oraz przepyszne klomby kwiatów.

W restauracji na lotnisku częstują nas doskonałym winem libańskim. Wino w tym kraju? Wyrażam zdziwienie, gdyż Liban jest krajem muzułmańskim. Siedzący przy tym samym stoliku arabski pilot „Linii Lotniczych Arabii Saudyjskiej" wybucha śmiechem i klepie mnie po ramieniu: „Prorok zabronił pić wino, ale nie zabronił go fabrykować i sprzedawać. Toteż produkujemy i sprzedajemy cudzoziemcom, ale sami go nie pijemy... w miejscach publicznych".

Po chwili pyta skąd jestem. Odpowiadam, że przyjeżdżam z Warszawy. Ciekaw jestem czy mój rozmówca orientuje się gdzie leży Warszawa. Wiem jednak, że na Wschodzie niegrzecznie byłoby o to spytać, bo oznaczałoby to powątpiewanie w wiedzę rozmówcy, więc milczę. Dobrze uczyniłem, gdyż okazuje się, że pilot „Linii Lotniczych Arabii Saudyjskiej" wie o Warneńczyku, o Sobieskim, o rozbiorach Polski, o Mickiewiczu, wie o odbudowie Warszawy.

Wie również o antykolonialnym, pełnym sympatii dla krajów arabskich stanowisku Polski w ONZ. Mówiąc o tym, ściska mi serdecznie rękę. Zapijamy przyjaźń polsko-arabską. On — kawą, ja — mrożonym winem libańskim.

Pogawędkę przerywa bardzo efektownie wyglądająca Arabka w białym mundurze obsługi lotniczej, która oznajmia, że samolot startuje za 15 minut.

REKINY NA PUSTYNI

Mijamy granice Syrii, szybujemy nad pięknymi górskimi lasami cedrowymi. W dolinach — gaje oliwne i białe osiedla. Powoli krajobraz się zmienia. Lasy stają się coraz rzadsze i wreszcie znikają zupełnie. Zieleń jest coraz mniej soczysta, nabiera żółtawego koloru spalonych słońcem stepów, by w końcu ustąpić miejsca bezkresnemu, pofalowanemu morzu piasków. Pilot, uciekając przed palącym oddechem pustyni, wzbija się na dużą wysokość. Obniża dopiero swój lot nad dolinami Tygrysu i Eufratu. Lecimy nad Irakiem.

Po pewnym czasie głośnik zapowiada, że z lewej strony w dole można zobaczyć największą na Środkowym Wschodzie rafinerię nafty w Abadanie. Była ona nieczynna przez cztery lata, w okresie nieubłaganej blokady wybrzeży Iranu przez angielskie monopole naftowe, wprowadzonej dlatego, że naród irański „odważył się" sięgnąć po swoje bogactwa. Pętla blokady i wynikające z niej straty finansowe skłoniły burżuazję i feudałów irańskich do całkowitej kapitulacji przed angielskimi i amerykańskimi nafciarzami, i do dławienia w ich interesie ruchu narodowo-wyzwoleńczego. Mimo to monopole naftowe nie czują się pewnie w Iranie. Ograniczają one produkcję nafty do jednej piątej wydobycia sprzed 1950 roku.

Samolot utrzymuje teraz kurs wzdłuż wybrzeży Arabii. W dole widać lasy wież wiertniczych i lśniące w słońcu srebrne linie rurociągów. Różnie nazywają się kompanie naftowe w tych stronach, ale każda z nich podlega jednemu z dwóch trustów. Standar Oil w Nowym Jorku albo Royal Dutch Shen w Londynie.

Na tym bezkresnym morzu piasku toczy się nieubłagana walka między dwoma rekinami kapitału naftowego: amerykańskiego i angielskiego. Walka ta odbywa się na karku narodów o wielkich tradycjach i starej kulturze, narodów, które na pewno będą tu miały ostatnie słowo.

SKOK PRZEZ ZATOKĘ

Samolot „decyduje się" na skok przez Zatokę Perską. Jesteśmy już nad Jemenem. Mieszkańcy tych stron nie uznają panowania koncernów naftowych. Nie pomagają periodyczne bombardowania przez Anglików oazy Buremi w Arabii Saudyjskiej i wiosek południowego Jemenu.

Nad Zatoką Ghubb Oman zapada noc. Dochodzi godzina dziesiąta; w dole zabłysły słabe światła Karaczi. Jesteśmy w Pakistanie.

Nowiutki autokar zawozi pasażerów wraz z załogą do hotelu KLM, gdzie czekają pokoje z łazienkami oraz bufety dobrze zaopatrzone w potrawy i napoje importowane z USA. Wszystkie inne zasłania pasażerom samolotu gorąca, podzwrotnikowa noc. Tylko wychudzona, nędznie odziana obsługa przypomina nam, że jesteśmy w jednym z krajów o najniższej stopie życiowej na świecie. A ślady ospy na twarzach spotykanych ludzi — o tym, że po 150 latach panowania brytyjskiego w tym kraju przypada tu jeden lekarz na 50 tysięcy mieszkańców.

Po dwóch godzinach żegnamy Karaczi. Szkoda, że za oknami jest noc. Jesteśmy już przecież nad Indiami.

JANUSZ KORYN

Trasa podróży po południowo-wschodniej Azji (wytnij i zachowaj)

Między nami amatorami

KILKA UWAG i WNIOSKÓW

(Artykuł dyskusyjny)

FRANCISZEK GRABOWSKI
zastępca kierownika Wydziału Propagandy KW PZPR

XVII sesja Rady Kultury była poświęcona omówieniu problemów amatorskiego ruchu artystycznego. Słusznie, że tej najbardziej masowej formie upowszechnienia kultury poświęcono sesję Rady Kultury. Przede wszystkim — i to jest może najważniejsze — przyjechało wielu ludzi z terenu, aby podzielić się doświadczeniami i omówić trudności w pracy i rozwoju amatorskich zespołów artystycznych.

Brak było tylko jednej prezentacji, a mianowicie członków Rady Kultury. Tak jest — choć to wydaje się paradoksem — na sesji Rady Kultury poświęconej amatorskiemu ruchowi artystycznemu, nieobecni byli członkowie Rady Kultury, mimo że przez dwa dni na pustych pierwszych rzędach krzeseł bieliły się kartki z napisem „zarezerwowane dla członków Rady Kultury".

Ten fakt jaskrawo świadczy o stosunku tych ludzi do problemu upowszechnienia kultury.

Tymczasem, mimo olbrzymich trudności powstało wiele amatorskich zespołów artystycznych, rozwinęły się różnorodne formy pracy świetlicowej. Najbardziej znaną i spotykaną formą amatorskiego ruchu artystycznego w naszym województwie są regionalne zespoły pieśni i tańca.

Zespoły pieśni i tańca oparły się w przeważającej części na repertuarze zaczerpniętym z naszego regionu. Wielką zasługą tych zespołów jest to, że wydobyły one z zapomnienia pieśni, tańce i stroje regionalne. I nie tylko wydobyły, ale rozsławiły i to w całym kraju. Jest to niewątpliwie poważne osiągnięcie i zasługa ruchu amatorskiego.

Popatrzmy jednak na pracę regionalnych zespołów pieśni i tańca z innego punktu widzenia. Gdy ktoś uczestniczył jako widz czy członek jury konkursowego w eliminacjach wojewódzkich, to musiał się nudzić, gdyż poszczególne zespoły robotnicze występowały w tych samych strojach, z tymi samymi pieśniami i tańcami co i chłopskie. Zarówno zespoły z Gorlic, Krosna, czy Jasła, jak również z Jarosławia, Łańcuta czy Przemyśla śpiewały „Cebula staniała", „Jestem chłopak od Rzeszowa". A więc powtarzający się aż do znudzenia repertuar. Chociaż wiemy o tym, że rzeszowski region jest bardzo różnorodny zarówno w tańcu, jak i w stroju.

Wystarczy popatrzeć chociażby na zbiór strojów ludowych Rzeszowszczyzny w Muzeum Okręgowym. W naszym województwie mamy bogate tradycje kulturalne różnych grup regionalnych, począwszy od Górali, Huculów, a skończywszy na lasowiakach. Dlatego w Gorlicach zespoły wiejskie winny między innymi zainteresować się piosenkami i tańcem góralskim. Jednym słowem chodzi o to, by każdy zespół dawał coś nowego, aby był oryginalny w swym repertuarze. Ale czy tylko to powinien mieć na uwadze? Uważam, że nie, bo wąski regionalizm nie przynosi pełnego zadowolenia. Dobry zespół pieśni i tańca winien znać również tańce z innych części Polski. Powinien śpiewać pieśni ludowe i masowe swego regionu, kraju i innych narodów.

Tymczasem niektóre zespoły występują z bardzo banalnymi i przypadkowymi „piosenkami". Przecież w pieśni ludowej zawarte zostały uczucia i dążenia ludu, a nierzadko i krzywda, jaką chłop odczuwał pod jaśniepańskimi rządami. Pieśń, przysłowia i baśń ludowa to filozofia ludu, odzwierciedlająca dążenia, marzenia i myśli prostego człowieka. Czy zespoły wiejskie potrafiły to pokazać? Sądzę, że nie. A zespoły robotnicze? Zespoły robotnicze, to zespoły w większości „wiejskie" pod względem treści repertuaru. A przecież one powinny przede wszystkim nawiązać do tradycji robotniczych. Powinny opierać swój repertuar na rewolucyjnych i buntowniczych pieśniach.

Oto uwagi, nad którymi działacze kulturalno-oświatowi winni się zastanowić.

Osłabła również praca amatorskich zespołów teatralnych. Mówi o tym najlepiej stan liczebny. Dość często, szczególnie ludzie teatru zawodowego, występują przeciwko tworzeniu zespołów teatralnych. No bo jakże powoływane do życia — według ich mniemania — zespoły „bez skrystalizowanego oblicza artystycznego", mogą sięgać po sztukę, która nazywa się teatralną? Jak może zespół grać sztukę teatralną, bez kwalifikowanych artystów i reżyserów? Odpowiedź na te pytania sama ciśnie się na usta. Czy wobec tego mają rację te słabsze teatry, które sięgają po podobny repertuar co i teatry „o wielkim obliczu artystycznym"? Czy wobec tego uczeń szkoły muzycznej nie może grać utworów Chopina, gdyż nie jest wybitnym pianistą?

Zrozumiały jest fakt, że zespoły amatorskie muszą w swej pracy uwzględniać taki repertuar, na jaki ich stać, aby sztuki wystawić najlepiej. Również wygórowane ambicje niektórych zespołów amator-

(Dokończenie na str. 4)

FIODOR LUBIMSKI

Ze wspólnych tradycji rewolucyjnych

PRZED 60 LATY

Mnóstwo pracy ma teraz tow. Cecylia Zelikson-Bobrowska. Niemal codziennie wypada jakaś akademia poświęcona rewolucji 1905—1907 r., spotkania z młodzieżą lub załogą którejś z fabryk moskiewskich. Trzeba też zrobić korektę nowego wydania swych pamiętników...

Ale gdy nadszedł list z Polski z prośbą o podzielenie się wspomnieniami z jej działalności na terenie Warszawy w końcu XIX wieku, Cecylia Samojłowna niezwłocznie odezwała się:

„List nadesłany na moje nazwisko — pisze ona — tak bardzo wzruszył mnie wspomnieniami odległej przeszłości, wspomnieniami o dobrej stronie tej przeszłości — że, nie zważając na mnóstwo zajęć jakie mam w związku z 50-leciem rewolucji, której byłam aktywnym uczestnikiem, śpieszę odpowiedzieć na wasze pytania..."

* * *

„Moje rodzinne strony, powiatowe miasto Wieliż (w guberni witebskiej) — zaczyna swą opowieść Cecylia Samojłowna — porzuciłam we wczesnej młodości. Bez środków do życia, bez wykształcenia i zawodu, przyjechałam w 1894 roku do Warszawy..."

* * *

Trzeba było się jakoś zakotwiczyć. W tych latach nie była to sprawa łatwa. Na każdego młodego człowieka przyjeżdżającego z Cesarstwa Rosyjskiego przedsiębiorcy spoglądali z ukosa. — Czy aby nie przywozi ze sobą przypadkiem rewolucji? — nasuwało się podejrzenie. Dość mieli „swojej" — własnej, tj. polskiej, która od przeszło 10 lat zatruwała im życie. — Po co to jeździć aż tak daleko? Czy w Petersburgu, albo w Moskwie nie ma fabryk?

Po kilkutygodniowych wędrówkach Cecylii udało się zdobyć kiepską pracę w wytwórni krawatów. 15 godzin dziennie, a przed świętami to i dłużej, za 8 rubli miesięcznie. Zresztą i tak długo tam miejsca nie zagrzała...

W Warszawie zebrała się w tym czasie spora kolonia rewolucyjnej młodzieży rosyjskiej, która usunięta z różnych uczelni w Rosji zjechała tutaj, aby zakończyć studia. Zawiązały się wśród niej koła socjaldemokratyczne.

Na Pańskiej, w niewielkiej jadłodajni prowadzono dyskusje polityczno-filozoficzne, czytano zakazane książki, które różnymi drogami przenikały do Warszawy, rozprawiano się z ideologią narodników, oddawano się marzeniom o masowych rewolucyjnych wystąpieniach.

Pewnego dnia wzbudził sensację otrzymany z Rosji marksistowski zbiór pt. **„Materiały do charakterystyki naszego rozwoju gospodarczego"**, w którym pod pseudonimem K. Tulina zamieszczona została jedna z pierwszych prac W. I. Lenina — **„Treść ekonomiczna narodnictwa i jej krytyka w książce p. Struwego"**. Zbiór ten miał być wydany legalnie, ale cenzura carska skonfiskowała go i zarządziła spalić cały nakład.

„Jeden z nielicznych egzemplarzy tego zbioru — wspomina Zelikson-Bobrowska — pojawił się w tym czasie (1895 r.) w nielegalnych kołach marksistowskich w Warszawie, do których również i ja należałam jako młoda robotnica warsztatu rzemieślniczego... W zbiorze tym uwagę przykuwał artykuł K. Tulina..."

Dla socjaldemokratów warszawskich ukazanie się pracy Lenina - Tulina było — według słów Zelikson-Bobrowskiej — **„wielkim świętem"**, gdyż uzbroiła ona ją i jej towarzyszy w argumenty do polemiki z narodnikami.

Początkowo rosyjskie koła marksistowskie w Warszawie działały w izolacji od robotniczego środowiska warszawskiego, równolegle z polskimi grupami marksistowskimi, które wówczas połączyły się w Socjal-Demokrację Królestwa Polskiego. Dopiero po pojawieniu się na bruku warszawskim studenta weterynarii — Fiodora Lubimskiego nastąpiło zbliżenie kolonii rosyjskiej z robociarzami warszawskimi. Lubimski — syn pułkownika petersburskiego, szlachcic z dziada pradziada — obrał sobie jako pole dla propagandy rewolucyjnej środowisko warszawskich robotników i rzemieślników. Umiał on znaleźć drogę do ich serc i zdobyć ich zaufanie. Zamieszkiwał Fiodor kątem u jakiegoś stolarza, żyda i przy jego pomocy zorganizował pierwsze, 12-osobowe, socjaldemokratyczne koło stolarzy. Oprócz tego koła prowadził Fiodor jeszcze kilka innych, rozsianych w różnych punktach Warszawy — na Wilczej, Nalewkach, Dzikiej.

Tragicznie ułożyły się późniejsze losy Fiodora. Jego sytuacja materialna była opłakana, stale niedojadał, bo wszystkie otrzymane od matki pieniądze oddawał biedniejszym. Zapadł na gruźlicę, przyplątała się choroba psychiczna. Na domiar wszystkiego został aresztowany i przez 10 miesięcy przebywał w celi X Pawilonu. Zwolniony dzięki staraniom rodziny, długo już nie pożył. Zmarł w drodze na Krym na kurację.

— Taka jest — wspomina C. S. Zelikson-Bobrowska — krótka i smutna opowieść o chodzącym sumieniu naszego ówczesnego koła — o Fiodorze Lubimskim.

* * *

Spośród polskich socjaldemokratów, z którymi stykała się Cecylia Samojłowna w Warszawie, wspomina ona kursantkę Okulicz, Kasprowicza, szewca Jankowskiego i kilku innych. Utrwaliła się jej w pamięci postać Saszy Berlina. W przeciwieństwie do Fiodora, Sasza, będąc warszawiakiem, obrał sobie rewolucyjną kolonię rosyjską w Warszawie za pole swej działalności.

W mieszkaniu Zelikson-Bobrowskiej przy ulicy Muranowskiej, Sasza wraz z nią i jeszcze jednym towarzyszem drukował na powielaczu odezwy rewolucyjne.

Pod koniec pobytu w Warszawie (1896 r.) Cecylii Samojłownie powierzono prowadzenie dwóch kółek — kółka młodych szwaczek oraz kółka robotników i rzemieślników.

W końcu 1896 roku, po śmierci Lubimskiego i wyjeździe Berlina, rosyjska kolonia socjaldemokratyczna w Warszawie wyludniła się. Większość udaje się do kraju, aby zasilić rosyjski ruch rewolucyjny, część jedzie na emigrację na Zachód; ci zaś, którzy pozostali w Warszawie, wstępują w szeregi SDKPiL. Tow. Zelikson-Bobrowska włączyła się do emigracyjnej grupy marksistowskiej „Wyzwolenie Pracy", później pracowała w leninowskiej „Iskrze". Odtąd jej losy związane zostały z Leninem i partią bolszewicką.

Po tych odległych latach, z okresu warszawskiego pozostało Cecylii Samojłownie kilka fotografii, wśród nich portret Fiodora Lubimskiego.

Opracował:
JÓZEF KOZŁOWSKI

MIĘDZY NAMI AMATORAMI

(Dokończenie ze str. 3)

skich, sięgających po wielki i trudny repertuar klasyczny nie są pożytecznym zjawiskiem. Znam taki zespół, który „porwał się" na wystawienie „Dziadów", mimo że po raz pierwszy od wielu lat to arcydzieło przeniósł na scenę teatr zawodowy. Gdy pytałem kierownika jednego z zespołów jak „wypadły" — „Dziady" odpowiedział: „nawet nam się to przedstawienie udało — ludzie się bardzo uśmiali".

Ale mamy również zespoły amatorskie, które swym poziomem niewiele odbiegają od teatru zawodowego (zespół teatralny Domu Kultury Górnika-Naftowca" w Krośnie). Nie o to jednak chodzi. Sprawa polega na tym, że zespół teatralny można utworzyć w każdej świetlicy, a zespołu pieśni i tańca — nie. Zespół teatralny częściej zmienia swój repertuar i ma większe, kolosalnie większe możliwości wychowawczego oddziaływania. Dlatego, nie mówiąc szerzej o doborze właściwego repertuaru, uważam że winniśmy szczególnie intensywnie rozwijać pracę zespołów teatralnych.

Reasumując tych kilka uwag chcę mocno podkreślić, że nie należy ograniczać i rezygnować z dorobku artystycznego zespołów pieśni i tańca, ale odwrotnie, trzeba poszukiwać nowych wartości regionu, a nie tylko powielać dorobek innego zespołu. —

W rzeszowskim WDK jest dobry zespół taneczny. Z braku innych był on często używany do zapełniania tzw. części artystycznych. Dlatego występuje stale z tymi samymi tańcami co przed rokiem. Wyobraźmy sobie taką sytuację, że ktoś z nas musiałby codziennie słuchać referatu na ten sam temat — co się zresztą czasem zdarza — a tu przecież mamy podobną sytuację. Z drugiej strony należy ze wszech miar popierać rozwój amatorskich zespołów teatralnych. W każdej niemal gromadzie istnieją warunki, aby taki zespół zorganizować przy pomocy miejscowego nauczycielstwa.

Na marginesie tych problemów warto poruszyć dwie inne sprawy, a mianowicie nadmierną eksploatację zespołów artystycznych i sprawę pracy wychowawczej z członkami zespołu.

Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że istotną w wielu wypadkach przyczyną rozpadania się amatorskiego zespołu artystycznego jest ich nadmierna eksploatacja. Zespół powstaje, nikt nie widzi trudności w jego pracy i niewiele mu udziela pomocy, ale za to eksploatatorów tego zespołu jest wielu. Krzyczą przez telefon różne instytucje, że z okazji tej a tej ma zespół zapewnić część artystyczną tam a tam, wyjechać tu a tu, itp.

Kierownictwo zakładu pracy, w którym członkowie zespołu pracują zapyta wreszcie — albo z was artyści, albo pracownicy? Ja tu nie mówię o innych niedociągnięciach polegających na utrudnianiu i szykanowaniu członków zespołów ze strony niektórych dyrekcji zakładu za ich udział w pracy zespołu — to jest osobne zagadnienie. Trzeba jednak skończyć z nadmierną eksploatacją zespołów jako złem, które właśnie szkodzi rozwojowi amatorskiego ruchu.

Druga sprawa dotyczy pracy oświatowej i wychowawczej w zespole. W ruchu amatorskim brak jest prawie zupełnie pracy z członkami różnorodnych zespołów amatorskich. Rzecz dzieje się mniej więcej tak: organizuje się zespół np. teatralny, to znaczy zbiera się ludzi potrzebnych do wystawienia danej sztuki: czyta się sztukę, rozpisuje się role i prowadzi próby. Po wystawieniu sztuki zespół niby jakimś prawem naturalnym rozlatuje się. Gdy wystawia się nową sztukę, sprawa zaczyna się od początku z tym, że są to często znowu nowi ludzie.

Wiele jest przykładów, gdy np. zespół teatralny wystawia „Zemstę" a członkowie zespołu niewiele mogą powiedzieć o autorze, o myśli przewodniej utworu, o epoce, którą ten utwór przedstawia. Chodzi o to, aby obok wystawiania sztuki, pomówić i podyskutować z zespołem o jej założeniach ideowych i wychowawczych, o jej walorach artystycznych, o samym autorze. Jeżeli zespół muzyczny gra jakiś utwór znanego kompozytora to warto z zespołem podyskutować na temat jego twórczości, na temat formy utworu i wreszcie co chciał artysta wyrazić w tym utworze. Praca prowadzona w ten sposób z członkami zespołu może dać im wiele zadowolenia, wzmocni zespół jako kolektyw, rozbudzi zainteresowanie i zamiłowanie do sztuki i piękna. Taki zespół będzie umacniał się ideologicznie, taki zespół podniesie swój poziom artystyczny, a każdy członek zespołu stanie się bardziej kulturalnym człowiekiem, a z kolei działaczem kultury.

Poruszyłem zaledwie kilka ważnych spraw ruchu amatorskiego. W naszym województwie jeżeli nie zasadniczą to węzłową rolę w upowszechnieniu kultury spełnia ruch amatorski. Dlatego o pracy amatorskich zespołów artystycznych warto szerzej podyskutować. Chciałbym, aby moje uwagi zapoczątkowały szeroką, żywą dyskusję o zadaniach i aktualnych sprawach ruchu amatorskiego, artystycznego. Mamy w województwie rzeszowskim około 1.500 zespołów, a zatem i wiele problemów — jest więc o czym dyskutować. Mamy nadzieję, że w pierwszej kolejności wypowiedzą się ci, którzy są najbardziej zainteresowani tymi sprawami, a więc członkowie i kierownicy zespołów. Sądzę, że w tym wypadku nie powtórzy się „rada pustych krzeseł", o której była mowa na początku. A więc zabieram głos jako pierwszy i proszę o „zapisywanie się do dyskusji"

NOWINY TYGODNIA radzą,

Przeczytać

Nową książkę opartą na pamiętnikach i wspomnieniach radzieckiego pilota W. Mielnika pt. „Wojenny pamiętnik pilota" Książka ta, to opisane z żołnierską prostotą, bezpośrednio ale żywo losy kolektywu lotniczego walczącego w jednej z najcięższych bitew minionej wojny.

Wydawnictwo: MON. Cena 6,65 zł.

Obejrzeć

Wystawę pt. „ŻYCIE I PRACA LUDZI RADZIECKICH" otwartą od niedzieli 22 bm w salach Muzeum Okręgowego w Rzeszowie. Wystawa składa się ze 150 plansz i przygotowana została przez Zarząd Wojewódzki TPPR.

Zobaczyć

Film produkcji japońskiej „A jednak żyjemy". Mało dotychczas znamy filmów japońskich, pomimo tego że japońska kinematografia produkuje ponad 300 filmów rocznie. W ogromnej większości jednakże są to filmy zrealizowane przez wielkie koncerny filmowe wzorowane na Hollywoodzie. Film „A jednak żyjemy" w kinematografii japońskiej zapoczątkowuje „neorealizm" sztuki filmowej — podobnie jak film „Złodzieje rowerów" we Włoszech — i dlatego warto go obejrzeć.

Posłuchać

Posiadaczom radioodbiorników radzimy posłuchać audycji wg powieści „Moby Dick" H. Melvilla pt. „Pościg za białą bestią". Wykonawcy słuchowiska: zespół aktorski Teatru Młodego Słuchacza. Audycja ta zostanie nadana w niedzielę 22. I. o godzinie 18,30 w programie I.

Posiadaczom głośników radiofonii przewodowej przypominamy audycję satyryczną „Radiowe omłoty", którą nadaje Polskie Radio Rzeszów co niedziele o godzinie 8 rano. Wykonawcami tej audycji są artyści Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej.

Odpowiedzi DZIAŁU KULTURALNEGO

Stanisław Dziedzic — Rzeszów Prosimy o skontaktowanie się z działem kulturalnym.

Stefan Czejkowski — Rzeszów. Z nadesłanego materiału nie skorzystamy.

Stanisław Józefowicz — Brzyszczki (pow. Jasło). Żądany artykuł odeślemy.

B.H. — Rzeszów. Z nadesłanego wiersza nie skorzystamy.—

KAŻDY KAWAŁ NA KARNAWAŁ

— Skądże znowu! Jestem kawalerem!

— Co ty wyprawiasz Leon?
— Kazałeś mi przecież patrzeć czy są ładniejsze toalety od twojej.

Bez podpisu.

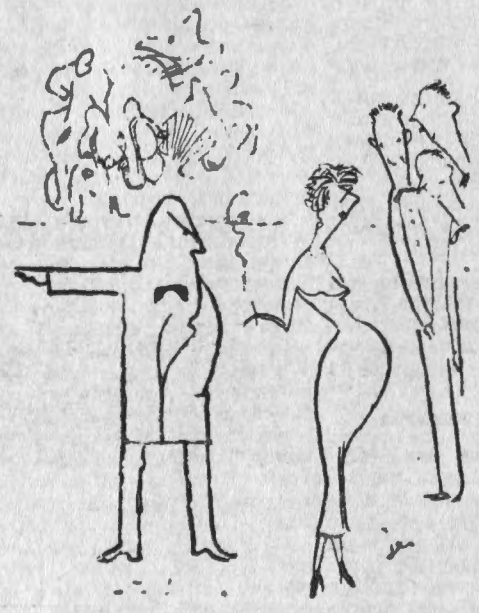

„Irena do domu..."

Walczyk dla panów.

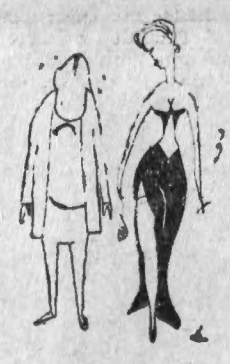

DEKOLTY
— Nie jest ci chłodno kochanie?

Rysunki:
JERZEGO
SIENKIEWICZA

Jak się Wam podoba?

DZIŚ: PIEKIELNY SĄSIAD

W naszej nieustającej rewii alkoholowych ty(p)ków prezentujemy dziś szczególnie przykry egzemplarz z gatunku „piekielny sąsiad". Biada nieszczęśnikom skazanym na bliskie sąsiedztwo z takim rarytasem.

Nieszczęsne istoty obdarzone z łaski kwaterunku „piekielnym sąsiadem" nie są pewne ni dnia ni godziny, a pojęcie spokój nocny należy do abstrakcji. Na usilne żądania zainteresowanych przedstawiamy dziś „w akcji" dwu przedstawicieli tego nader uprzykrzonego gatunku.

Godzina 22.30. U piekielnych sąsiadów zaczyna się wysoce intelektualna „dyskusja". Piekielny sąsiad ryczy na całe gardło.. „tam znad Prutu Czeremoszu", kolega stara się go przekrzyczeć i „ciągnie".. „wojenko, wojenko". Dwu innych dyskutantów wtóruje im na melodię „ułani, ułani" i „most, moost, mooost".

Intelektualna dyskusja z minimalnymi zmianami repertuarowymi na „wio koniku" i „co to za dziewczyna" — trwa bez przerwy tylko do godziny 2.

Nacieszywszy się zabawą koronują swe dzieło pozostawiając wonny i lepki ślad swej kultury na samym środku korytarza Piekielnie dowcipne co?

Podaliśmy dziś fakty niestety jak najbardziej autentyczne. Bohaterami tej ponurej historii są dwaj inżynierowie elektrycy z Rzeszowa zamieszkali przy ul. H. Sawickiej nr 13.

I jak tu wierzyć tytułom?

KIEŁ.

FILM

„CUD ZDARZA SIĘ RAZ"

Wychodziliśmy z kina. Bez trudu zauważyłem, że wiele kobiet miało łzy w oczach. Moi sąsiedzi dzielili się głośno uwagami. Raz po raz słyszałem zdania: „To naprawdę piękny film". „Warto jeszcze raz go zobaczyć".

Kiedy zasiadłem do pisania tej recenzji znalazłem się w nie lada kłopocie. Bo przecież pod względem artystycznym film nie tylko nie jest arcydziełem, ale wyraźnie zawiera wiele niedostatków. Ogólnie biorąc jest przegadany, trochę melo-dramatyczny, zawiera sporą dawkę taniego sentymentalizmu.

Czy jednak ze względu na te niedomogi można go zdyskwalifikować? Wydaje mi się, że byłoby to lekkomyślnością. Mimo bowiem niezbyt oryginalnych rozwiązań, film pokazuje sporo prawdy, zmusza widzów do myślenia, angażuje nas uczuciowo.

Temat filmu nie jest żadną rewelacją. Piękna miłość Claudii i Jerome przerwana brutalnie przez nadciągającą zawieruchę wojenną.

Znamy aż nazbyt dobrze z własnych, nieraz smutnych doświadczeń, te wojenne rozłąki. Byliśmy sami nie tylko ich obserwatorami, ale w podobnych dramatach wielu z nas brało osobiście udział.

Różne były te wojenne powroty do nowego życia. Nieraz łzy w oczach najbliższych, którzy nie zapomnieli, a nieraz pustka i cmentarna cisza — żal tych, którym wystarczyły miesiące, aby wszystko zapomnieć.

Po 11 latach Jerome odnajduje wreszcie swoją wymarzoną Claudię.

Czy uczucie, które ich kiedyś łączyło zaplonie teraz z nową siłą? Czy będą tak samo szczęśliwi, jak byli kiedyś w pierwszych dniach swojej miłości?

Sytuacja nie jest bynajmniej prosta i łatwa do rozwiązania. Claudia jest przecież związana z innym człowiekiem. Czy porzuci go dla przyjaciela z lat młodości? Czy potrafi znaleźć z nim wspólny język?

Na wszystkie te pytania odpowie film. Zamiast ujawniać szczegóły, które przecież w każdym podobnym przypadku mogły być i były na pewno inne, wysuńmy lepiej ogólniejszy nieco wniosek.

Autorzy filmu wyraźnie wskazują, że wojna, jej bezmyślny mechanizm niszczy nie tylko walczących, zabija również słabych. Jej okrucieństwa mogą dotknąć w każdej chwili każdego nie tylko na pierwszej linii frontu, ale i na dalekim zapleczu.

Stąd właśnie płynie protest twórców filmu przeciwko wojnie. Jest to głos w obronie pokoju.

ZBIGNIEW ZAPERT

KĄCIK FILATELISTYCZNY NR 3/56

pod redakcją dr Z. Konarzewskiego

Poczta Chińskiej Republiki Ludowej wydała nową serię znaczków poświęconą pamięci sławnych uczonych chińskich. Wszystkie znaczki mają jednakową wartość: 8 fenów, to jest tyle, ile kosztuje zwykły list krajowy w Chińskiej Republice Ludowej. Na znaczkach znajdują się objaśniające napisy w języku chińskim oraz w dolnych narożnikach numery serii i kolejności znaczków, dla ułatwienia filatelistom zbierania tych znaczków.

Pierwsza liczba „33", umieszczona w lewym dolnym narożniku znaczka, oznacza kolejny numer serii, natomiast cyfra „4" oznacza, że dana seria składa się z czterech znaczków. Na każdym znaczku trzecia cyfra oznacza kolejność znaczka w danej serii. W prawym dolnym narożniku znajdują się cyfry kolejne na każdym znaczku, w tej serii od 125 do 128. Wreszcie ostatnia cyfra „1956" jest datą wydania serii.

Na pierwszym znaczku, koloru czekoladowego, umieszczono portret Dżan-Szu, astronoma, który żył w latach 78 — 139 naszej ery. Na drugim, koloru niebieskiego, widzimy portret Dzu-Dzung-dży, matematyka, który pierwszy obliczył stosunek obwodu koła do jego średnicy, to jest liczbę Pi = 3,14159265 Żył w latach 429 — 500 n. e. Na trzecim, koloru ciemno-brązowego, znajduje się portret Tseng-Yi-hsinga, astronoma, który urodził się przypuszczalnie w roku 683, a umarł w roku 727 n. e.

Wreszcie na ostatnim znaczku, koloru bordo, jest portret Li-Szy-czuana, lekarza i aptekarza, który żył w latach 1518 — 1593. Wszystkie znaczki tej serii wykonane techniką stalorytową na kremowym papierze, mają ząbkowanie 14 X 14.